Tom VI.  Nr. 12.

21. Kwietnia 1862.



Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

WIELKANOC.

Nadeszła nam znowu uroczystość, podczas której obchodzimy pamiątkę Zmartwychwstania Jezusa Chrystusa. Nazwanie tej uroczystości wzięte jest od nocy, w której Chrystus zmartwychwstał, a która dla nas z tego względu jest nocą *wielką* i bardzo ważną. Żydzi przed przyjściem na świat Chrystusa obchodzili Wielkanoc, na pamiątkę wybawienia ich podczas nocy z niewoli egipskiej, i pożywania baranka przy wyjściu z Egiptu; tudzież na pamiątkę pozabijania wszystkich pierworodnych dzieci egipskich, co Pismo ś. *Przejściem Pańskiem* nazywa. Dlatego święto to nazwali *Paschą*, co *przejście* znaczy, a nasza uroczystość Zmartwychwstania Chrystusa, nazywa się także *Paschą:* raz od Paschy żydowskiej, która tej uroczystości obrazem była; powtóre, że Zmartwychwstanie Chrystusa jest przejściem Jego od śmierci do życia, przez które z niewoli grzechu i wiecznej śmierci nas oswobodził.

Ponieważ Zmartwychwstanie Chrystusa jest główną zasadą naszej wiary, ztąd uroczystość Wielkanocna dla Chrześcijan

jest najważniejszą i najmilszą. Dlatego Kościoł święty z większem ją, niżeli inne, weselem i radością zwykł obchodzić. Ta radość i wesele kościoła św. wyraża się we wszystkich pieśniach, jakich się podczas Wielkiejnocy używa.

Uroczystość Wielkiejnocy zaczyna się od wspaniałego nabożeństwa, które *Rezurekcją* zowiemy. Ta rezurekcja wyobraża samo Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa, i odprawuje się w sobotę wieczorem, albo o północy, lub też w niedzielę rano. Rezurekcja rozpoczyna się od Grobu Pańskiego, zkąd, po prześpiewaniu modlitw stosownych, wychodzi uroczysta procesja z Najświętszym Sakramentem, i trzy razy przy stosownych pieśniach wewnątrz lub zewnątrz kościoła obchodzi. Po procesji i prześpiewaniu modlitw, Jutrznia o Zmartwychwstaniu Pańskiem się odprawuje. Procesja zwykle raz tylko obchodzi kościoł, w tym zaś dniu trzy razy, na znak radośnego tryumfu Jezusa Chrystusa nad śmiercią i piekłem. Dlatego podczas tej procesji niesie się krzyż, stułą czerwoną przepasany, paschał zapalony i figura Chrystusa zmartwychwstałego, z chorągiewką w ręku. Są to oznaki zwycięztwa, jakie Chrystus odniósł nad śmiercią. Jestto razem oznaka naszego zmartwychwstania i wiecznej radości w niebie, jaką nam Chrystus przygotował.

W dawnych czasach, gdy kapłan po procesji śpiewał: *Wstał Pan Chrystus zmartwych ninie,* wierni będący w kościele, tej radosnej nowiny sobie winszowali, a dając wzajemne pocałowanie na znak miłości i radości wspólnej, powtarzali słowa przez kapłana śpiewane.

Dziś na pamiątkę tej radosnej chwili, po odbytem nabożeństwie, zapraszają się Chrześcijanie wzajemnie na ucztę, z różnych pokarmów złożoną, która jest równie jak wilja na Boże Narodzenie, zabytkiem uczt dawnych. Między temi pokarmami pierwsze trzyma miejsce baranek, i osobną modlitwą się poświęca, na znak, że Jezus Chrystus jest Barankiem Bożym, który gładzi grzechy nasze, i w Najświętszym Sakramencie na pokarm duchowny siebie nam daje. Przytem przypomina tryumf Niebieskiego Baranka nad śmiercią i piekłem; dlatego pospolicie przy poświęcanym baranku choręgiewka się zawiesza. Gospodarz z domownikami i gośćmi zwykle od jaja rozpoczyna po-

żywanie wielkanocnej uczty, czyli święconego, a spożywa je z wesołością na twarzy, a w braterskiej zgodzie i miłości z wszystkimi.

W dawnych wiekach uroczystość Wielkiejnocy przez całą oktawę, czyli ośm dni obchodzoną była. Chociaż teraz Wielkanoc uroczyście tylko przez dwa dni się obchodzi, jednak w kościelnem nabożeństwie do następnej niedzieli się rozciąga. Ta niedziela zowie się *Przewodnią,* w którą pierwsi chrześcijanie suknie białe składali w kościele. W dawnych bowiem czasach ochrzczeni w Wielką Sobotę, przez cały tydzień nosili białe suknie, na znak odebranej na chrzcie świętym niewinności; codzień przyjmowali Najświętszy Sakrament i Mszy świętej słuchali, która za nich szczególniej ofiarowaną była; nie znajdowali się na żadnych widowiskach, zabawach i biesiadach; słuchali Tajemnic wiary świętej, które im przed chrztem wykładane nie były. Nakoniec w oktawę Zmartwychwstania Chrystusa, czyli niedzielę pierwszą po Wielkiejnocy, składali suknie białe i do liczby wiernych ich zaliczano. Dlatego niedziela ta nazwaną została *Niedzielą w Bieli* albo Przewodnią. To wszystko pokazuje się z dawnych modłów kościelnych, które podczas dni wielkanocnych i świątecznych do dnia dzisiejszego się używają.

Czas Wielkanocny trwa przez ośm tygodni, aż do uroczystości Trójcy Przenajświętszej. Wszystkie modły i śpiewy kościelne w tym czasie są pełne najwyższej radości, wdzięczności i uwielbienia Jezusa Chrystusa, za dokonane dzieło odkupienia. Dla wyrażenia zaś Zmartwychwstania Chrystusa, i okazania ztąd naszej radości, modlitwy w czasie wielkanocnym po większej części stojąc, się odprawują; a Kościół w tym czasie uwalnia wiernych od ścisłego postu, i dozwala pokarmów mięsnych używać.

Oczyszczeni z grzechów spowiedzią świętą, stajemy biali w obliczu Boga na dniu Wielkanocnym. Na tym dniu zmartwychwstania Jezusa Chrystusa powinniśmy też odtrącić wszystko złe od serc naszych, zasługując sobie na żywot wieczny i na zmartwychwstanie do szczęścia i jasności.

---

*

Zmartwychwstanie.

Jak świat rozległy z wschodu do zachodu,
Z południa w północ, dla ludzkiego rodu,
Dla prawych Chrześcijan błogie dziś wesele:
Bóg zesłał syna a z nim łaski wiele;
On za nas cierpiał, zmarł i w grób złożony,
I zmartwychpowstał, by świat był zbawiony.
Alleluja!

Powiedział Chrystus: Grobem mi Golgota,
Lecz przez śmierć moją z niej do niebios wrota;
Umrę i wstanę z potęgą wszechwładną,
A z mieczem w ręku straże na twarz padną;
Wtenczas uwierzą, gdy sam, w mej osobie
Z pieśnią zwycięztwa stanę na mym grobie.
Alleluja!

Bo siałem prawdę, a prawdy nasiona
Wsiąkną i wzrosną śród ludzkości łona,
I są jak pokarm, plon wydając złoty:
Wiary, nadziei, miłości i cnoty;
A chociaż niebo i ziemia przeminą,
To słowa mojej prawdy nie przeminą.
Alleluja!

I powstał; groby w koło niego pękły,
Ziemia zadrzała, głębie morza jękły,
Gwiazdy z podziwu na niebie stanęły,
Drzewa zielone głowy w cześć ugięły,
I wszystko w niebie, na wodzie i ziemi
Głosi wraz z ludem, śpiewa wraz z świętymi:
Alleluja!

Chrystus zmartwychwstał, i w niebie stolicy
Zasiadł na tronie po Ojca prawicy,
W blasku duch święty nad nim się unosi,
A niebo całe Hosanna mu głosi:
Że dla ludzkości umrzeć się nie trwożył,
I przez śmierć swoją niebo jej otworzył.
Alleluja!

Jakoś Ty powstał, tak w Twe Imię Panie,
Co legło w grobie, przez Twą łaskę wstanie,
I wnet każdemu, co się w cnotach mnoży
Niebieskie wrota ręka Twa otworzy,
I pieśń Anielska zabrzmi mu przed progiem:
Szczęśliwy każdy, co wiódł życie z Bogiem.
Alleluja!

Chryste, Twe dzieci proszą Cię z pokorą:
Co sieją w pocie, niech w radości zbiorą.
Których noc kryje, tym niechaj zadnieje,
Niech w niebie spocznie, kto tu w trudach mdleje,
Przez Twoje światło, mękę, zmartwychwstanie,
Przyjm nasze modły, wysłuchaj nas Panie!
Alleluja!

Racz tych, co błądzą, prawdą Twą kierować,
Co walczą, mężnie do zwycięztwa prowadź,
Burzą miotanych przyjmij w port bezpieczny,
Za grobem śmierci daj nam żywot wieczny,
Przez Twoją prawdę, śmierć i zmartwychwstanie,
Miłuj nas dzieci, wysłuchaj nas Panie!
Alleluja!

Hramatka starej Kubaichy.

Zeszłorocznej zimy, w same ostatki zapustne, było wesele na naszym folwarku w Smerekowie. Nasz Stefan żenił się z naszą Kseńką. Stefan był u nas parobkiem od lat kilku: uczciwy, trzeźwy, bogobojny i wierny, toż juścić był nasz, tak jakby swój; bo kiedy człowiek z poczciwym sługą przeżyje lat kilka pod jednym dachem i dzieli się z nim swoją pracą i jednym chlebem się z nim karmi: to on poczciwy sługa zdaje się potem jakby swój, i jak swemu rad mu człowiek z serca. Otóż dla tego ja mówię, że Stefan był nasz. Kseńka służyła u nas także od kilku lat, była robocza i ochocza, uczciwa i skromna, więc i o niej mówię, że Kseńka była nasza. Oboje byli sieroty, oboje ubodzy, ale mieli wielkie bogactwo, bo czyste sumienie i zdrowe ręce. Wiana innego nie było prócz tego co

sobie zarobili na służbie, trochę odzieży i bielizny. Pokochali się oboje, toż i pobrali jak pan Bóg przykazał uczciwie, i byli wesołej myśli, bo powierzywszy wszystko Panu Bogu, nie bali się pracy choćby do grobowej deski.

Ksiądz proboszcz pochwalił bardzo Kseńkę, gdy chodziła przed ślubem na katechizm, bo żadna dziewka w Smerekowie nie umiała tak pięknie katechizmu jak ona, tylko połajali ją, że przyniosła im kurkę, którą dostała od starej ciotki, ubogiej komornicy, bo gdzieżby Jegomość od biednego co wzięli! W ostatnią niedzielę zapustną, po mszy świętej, pobłogosławili jej ze Stefanem, sakramentem małżeństwa; byłoż tam płaczu było! Bo jakżeby uczciwa dziewka, idąc za mąż, choćby za najmilszego, nie płakała serdecznie? Toć to żal młodości, żal panieństwa, żal kosy żółtej, którą rozpletą do ślubu i już do samej śmierci zostanie rozpleciona, żal pieśni, wstążek, igraszek; a jeszcze gdy przed ślubem dziewki zanucą przy kosie: to serce mało nie pęknie biednej pannie młodej i aż się zanosi od płaczu. Płakała też Kseńka aż jej oczy zapuchły, płakała za ojcem za matką że ich już nie było, aby pobłogosławić dziecko swoje, płakała rzewnie, aż się rozmaryn trząsł na jej głowie.

Muzyka zagrała od ucha, luda było mnogo, bo nie sromali się bogacze przyjść na wesele biednych, dziewczęta wszystkie, ile ich było we wsi zbiegły się na pieśni za stołem i na tańce, a starostowie, starościne, drużki i drużbowie, swaszka i daleka rodzina, składali piękne grono. Kseńka była tutejsza, a Stefan ze Sopuszyna o ćwierć mili, gdzie miał dwóch starszych braci żonatych, więc oba ci bracia z żonami przyjechali i przywieźli trochę chleba, trochę omasty, ot na co ich stać było, bo więcej nic bratu dać nie mogli.

Na stole stał pyszny korowaj, ustrojony w gałęź smereka ze szyszkami, a na gałęzi wisiały czerwone jabłka, i kolorowe płatki z papieru, a na korowaju był wianek z barwinku, pozłotką narzucany.

Wesoło przeszła niedziela a na drugi dzień, w poniedziałek, przyszła Kseńka od wywodu z cerkwi, w wielkim białym zawiju, w którym się kobiety i do trumny kładą. W izbie trzy stoły ustawiliśmy do kupy na objad, za stołem zasiedli wszyscy

goście z obu stron, muzyka w kącie, a najstarszy starosta Mandżara, co Kseńkę jeszcze do chrztu świętego trzymał, pokrajał chleb, gospodarzył i prowadził pieśni; państwo młodzi obsługiwali chodząc między gośćmi, a służebna z folwarku Melanka, wnosiła kurzące misy z nielada jaką strawą. Muzyka co podjadła to przegrywała, goście co podjedli, to śpiewali, a kieliszek szedł w kółko, chociaż nie zbyt często. Więc wesoło było i gwarno lecz oraz poważnie i uczciwie.

Stoję ja tak sobie i miło mi na sercu, że się poczciwy lud wiejski pod moim dachem weseli; to z tym to z owym pogadam, i baczę czy czego nie braknie. Aż tu spoglądnę, pod piecem na kuferku w kąciku siedzą dwie kobiety i nic nie jedzą, po cichu sobie coś gwarząc. Zbliżyłam się więc do nich: jedna była Wynarycha, nasza Smerekowska, żona muzyki, co rzempolił za stołem, a druga, Kubaicha ze Sopuszyna, żona najstarszego brata Stefanowego.

Obie już dobrze niemłode i obie ubogie, ale bardzo porządne i uczciwe gospodynie. Wynarychę znałam ja bardzo dobrze, ale Kubaichę dopierom pierwszy raz na weselu zobaczyła, a dziwnie mi jakoś przypadła do serca.

— Cóż to się znaczy, że wy tu w kąciku? Czy to wam miejsca brakło, czy zapomnieli o was? Wszakże wam się należy lepiej jakby komu? —

Na to uśmiechnęła się Wynarycha i odpowiedziała, że to poniedziałek, a one obydwie ślubowały sobie pościć wszystkie poniedziałki do Opatrzności Boskiej, to im nie godzi się dotykać weselnych potraw mięsnych. Więc kazałam natychmiast podać chleb pytlowany i kwaszone ogórki, i przysiadłam się na kuferek do nich, a poczciwe moje babięta rozgadały się na dobre o przeróżnych rzeczach. Wynarycha opowiadała jak to one poszczą te poniedziałki, i że choćby sam poniedziałek Wielkanocny, nigdy nie złamią postu. Opowiadała także, iż dwanaście piątków do roku suszy, na uproszenie szczęśliwej śmierci, bo któż wie jak się to przyda duszy w onej godzinie strasznej. A suszyła szczerze, cały dzień nic niejedząc, dopiero po zachodzie słońca kawałeczek chleba suchego. Mnie aż łzy w oczach stanęły, gdy mówiła, jak to nieraz w lecie, na długim dniu,

przy żniwie, młodsi dziwowali się, że ona stara i nie mocna ma siłę żąć od świtu do zmroku o głodzie, a ona tymczasem czuła się zawsze w ten dzień żwawszą niż kiedy indziej, i wieczorem pokazało się, że ona postawiła więcej snopów jak młodsi co podjedli tęgo. Dobrze to mówią starzy ludzie: *Jałmużna nie zuboży, Msza nie opuźni, a post nie umorzy.* Choć, skoro człek już w latach, to powinien zważając na dzieci i na zdrowie swe baczyć, jako że pan Bóg i zdrowiu swemu krzywdy czynić nie pozwala.

Od słowa do słowa zgadało się potem i o młodej parze. Kubaicha otarła oczy rękawem i westchnęła.

— Mój Boże! — rzekła — jak się patrzę na to wesele, to mi się przypominają moje dawne czasy. I ja kiedyś byłam taka młoda i hoża, i mnie tak państwo sprawiali wesele we dworze, a ja im się kłaniała jak rodzicom, bo nie miałam już swoich.

— Doprawdy? A gdzieżeście wy to służyli?

— Oj, ciężko mi o tem mówić, ciężej jak o ojcu i matce. Byłam ja młoda i szczęśliwa, a teraz co?

— Ale powiedźcież mi moja Kubaicha kochana, gdzieście to służyli za młodu, i skądeście rodem?

— Ja rodem ze Skwarzawy, nie daleko; wy byli w Skwarzawie?

— Nie byłam, ale wiem; i tameście służyli może?

— Oj tam, serce, tam. Służyłam we dworze. Niewielką dziewczyną jeszcze wzięli mnie do dworu starzy państwo, ale za nich krótko byłam; potem nastali młodzi, ci moi święci, moi rodzice....... i ocierała oczy Kubaicha.

— Toście wy ich tak bardzo kochali?

— Oj serce, oj lubo, jakże nie kochać takich Aniołów, jakże nie kochać ojca i matki! Toż to oni gołąbki już pomarli, a ja stara na tym świecie, sierota wieczna.....

— Cyt, moja kobieto, cyt! kiedy tacy dobrzy, to oni w niebie, więc wy nie płaczcie. A jakże oni się nazywali, czy wiecie?

— A wiem, wiem święcie. Nazywali się państwo Antoniewicze, on Karol, ona Zofia; gołąbki moje już nie żyją!

I dziateńki ich pomarły, i ona młodziutka jeszcze umarła, i on święty tatunio gdzieś daleko potem umarł..... Czy Hospod Boh tak ich sobie upodobał, czy co, że zabrał wszystkich razem?

— Toście służyli u księdza Karola Antoniewicza? — zawołałam tknięta bardzo — a powiedźcież mi co o nich moja serdeczna Kubaicho!

— Toście wy ich znali, serce? Prawda, prawda że on potem został księdzem, i swoje święte życie gdzieś daleko skończył.

— Oj, moja Kubaicho, księdza Karola Antoniewicza zna cały kraj nasz, nietylko ja, bo choć go nie każdy widział ale każdy wie o jego świętobliwem życiu, o jego pracach kapłańskich, o jego cudownych kazaniach i jego ślicznych książkach, które napisał dla poprawienia ludzi i dla chwały Boskiej.

— Otóż widzicie, widzicie, a prawda co ja mówię, że to był Anioł. Już jemu tam pan Bóg dał królestwo niebieskie, a ja sierota, wstając i legając modłę się za duszę jego i jego żony!..... Bo to widzisz lubo, służyłam u nich wiernie, a oni mnie tak sierotę polubili jakby swoją. Bywało, ja zawsze przy pani, przy pokoju, kołysałam jej dziateczki i śpiewałam do snu, a potem, mocny mój Boże, dwoje ubrałam na śmierć. To ona już tylko mojej usługi pragnęła, a ja się wyuczyłam jak mogłam. Zawsze mi mawiała: Marysiu! szanuj się, pamiętaj na Boga, Marysiu, strzeż się grzechu jak ognia! A ja słuchałam i wierzyłam jak w Pana Boga. A pan to bywało zawsze łagodny i dobry, tylko jak które z czeladzi dopuściło się czego złego, to tak gromił i kazał jak święty. Nie miałam już wtedy rodzonego ojca i rodzonej matki, ale nie czułam się sierotą, tak mnie tam ci państwo przygarnęli. Otóż trafiło się przyszli do mnie ludzie, oj mocny Boże! toż to ludzie..... Skwarzawscy, i naraili mnie jednemu parobkowi ze Sopuszyna, com go widywała czasem u krewnych w Skwarzawie, ta i przysłał do mnie starostów. Straszno mi było pomyśleć, że ja kiedy opuszczę moich państwa kochanych, a tu jeszcze do innej wsi, i żal mi było okrutny: spłakałam się i schowałam i nie chciałam wypić kieliszka od starostów, tylko się zdałam ze wszystkiem na pana i na panią. Pan dowiedział się o Hawryszka Kubaja

czy uczciwy, czy pracowity, i nieźle o nim wszyscy mówili, i wreszcie sam Hawryszko przychodził do dworu. Chłop był niczego, i Boże zmiłuj się, podobał mi się choć się nie przyznałam. Przyszli drugi raz starostowie, a pan kochany powiedział: Marysiu, nie chcemy cię zatrzymywać kiedy ci się trafia poczciwa dola; jeżeli chcesz, idź za Hawryszka, my cię i tak nie opuścimy i będziemy pamiętać o tobie. Upadłam panu do nóg, spłakałam się, i jakoś tak się zrobiło, że przyszło do wesela. Moja pani luba podarowała mi jałówkę, i sznurek korali, ustroiła do ślubu swoją ręką i pobłogosławiła jak matka. Nie mogłam się od niej oderwać, a jak przyszło jechać do Suposzyna, to myślałam, że na skonanie idę. A co mi ona powiadała jak być dobrą żoną, łagodną gospodynią: to ja tego nigdy nie zapomnę!... Moja matka złota jedyna!.... płakała za mną.... płakała, wierzcie mi.

I stara Kubaicha szlochała w zapasce.

— I cóż potem? — zapytałam ją po chwili.

— Ta cóż, dola się moja skończyła i nigdy nie powróci. Przyszłam na gospodarstwo Hawryszka i ręce załomałam, bo tam tylko pustki i bieda świeciły. Nie opuściłam się przecie, wzięłam się do pracy i myślałam, że to dźwignę jakoś. Długów moc, budynków żadnych, straciłam wszystko własne i biedowałam gorżko. Hawryszko nie był zły człowiek ale głupi; jak go kto wciągnął to i przepił co miał, a jak się upił to i wyrabiał brewerje, tłukł garnki i piec rozwalał a i mnie bił nieraz, a gdy się opamiętał to żałował, ale cóż z tego! Nie śmiałam ja nigdy żalić się przed mojem państwem, choć wiedziałam, żeby mnie zawsze poratowali, bo i martwić ich nie chciałam i wiedziałam, że nie godzi się żalić na męża. Jak przyszłam do nich a oni się pytali, to ja tylko wszystko kryję, a wszystko dobrze. Aż przyszła na mnie wielka bieda i nieszczęśliwa godzina. Hawryszko się rozchorował strasznie i leżał ani się ruszył, przednowek był ciężki, chleba ani soli nie było w chacie, a tu dziecko głodne wołało jeść, a ja nie mogłam odejść na zarobek, i bodaj co sprzedać, a w skrzyni nic nie było. Mocny Boże, com ja się wtedy napłakała! a tu Hawryszko jęczy na ławach, aż duszę ze mnie dobywa. Nie było rady, zostawiłam sąsiadę w chacie, a sama pobiegłam do Skwarzawy.

Drogi nie widziałam, wpadłam do dworu, prosto do pokoju, i tam przed państwem jak długa na ziemię..... Mojaż ty godzino nieszczęśliwa!.....

I Kubaicha zachodziła się od płaczu, i łzy lały się jej sznurkiem z starych oczu.

— Ta co tobie Marysiu! ta co tobie dziecko? hołubili mnie moje złote państwo, powiedz, powiedz! Nie wiem co ja im tam powiedziałam, ale pani się rozżałowała serdecznie nademną, wsunęła mi coś dużo w rękę, a pan zawołał: Chodź Marysiu, chodź, wybierz sobie sama krowę z moich wszystkich, jaka ci się żywnie spodoba; służyłaś nam wiernie i uczciwie, my ci nie damy ginąć. Oj nie dali mi zginąć, nie dali; a gdzie dziś tacy państwo? a gdzie tacy rodzice? Wyratowali mnie, wyratowali. O moja Matko cudowna! niedługo potem dobra pani moja, gołąbka moja umarła, a mąż jej poszli za księdza gdzieś daleko.....

Kubaicha już mówić nie mogła tak się spłakała nieboga. I my z Wynarychą ocierałyśmy oczy, a ona, gdy się wypłakała dobrze, rzekła jeszcze do nas:

— Nigdy ja nie zapomnę o nich. Ja im dłużna do śmierci. Wpisałam ich sobie d o h r a m a t k i, i za ich dusze prawi się w naszej cerkwi moje nabożeństwo kilka razy do roku, bo chyba bym umarła, żeby mnie na to stać nie było. A modlę się rano i wieczór za nich.

— Wpisaliście ich do hramatki? — zadziwowała się Wynarycha.

— A jakże, a jakże! Bo oni mi tak jak ojciec i matka, to powinni w mojej hramatce stać; i dzieci moje jeszcze się za nich modlić będą.

Ta hramatka Kubaichy dobiła mnie do reszty; nie mogłam już wstrzymać łez, i rada byłam uściskać poczciwą kobietę. Wiecie zapewne, że hramatka to jest taka książeczka, którą każda rodzina ma w cerkwi, i w której są zapisane imiona ojców i dziadów tej rodziny, a ksiądz przy żałobnych parastasach czyta i śpiewa te imiona modląc się za dusze napisanych tam zmarłych. Każda rodzina ma swoją hramatkę, i często za swoich zmarłych sprawia parastasy. Piękna to i pobożna rzecz.

A w hramatce Kubaichy zapisane imiona dobrego państwa jakby ojca i matki, i o ich duszach pamiętała biedna wdzięczna kobieta! O Boże mój! Tyś już pewnie kazał zapisać Aniołom w swojej świętej złotej księdze szlachetność dobrych panów i wdzięczność sług dobrych!

Nie mogła już dalej mówić stara Kubaicha, lecz ja com z książek wyczytała o księdzu Karolu Antoniewiczu, o tym jej dobrym panu, to wam dopowiem, abyście także jego pamięć świętą uszanowali i poznali kto on był.

Świętej pamięci *Karol Antoniewicz* urodził się we Lwowie roku 1807 z bardzo zacnych i pobożnych rodziców. Młode latka przepędził w ich wiosce Skwarzawie, w obwodzie Żółkiewskim. Wcześnie osierocony od ojca, tylko od matki kochanej uczył się być cnotliwym i miłować Boga. Ona to gorąco zawsze modliła się za synem do Boga. Bóg też, jakby łzami matki nie gardzący, wziął go w tę swoją najlepszą opiekę i czuwając nad nim w kwitnącej jego młodości, gotował sobie z niego naczynie łaski i błogosławieństwa.

Ukończył młody Karol wyższe nauki we Lwowie, i pośród tego szczęścia i różnych rozkoszy, któremi świat i ludzie go wabili do siebie, nieraz tęsknił i smucił się, bo jakiś głos święty w głębi serca jego szeptał mu, że nie dla niego szczęście na tej ziemi. Nieraz dusza jego drżała i płakała, chociaż sam jeszcze wtedy nie wiedział dla czego, a ona drżała i płakała przed Bogiem swoim, i prosiła się do pana Boga swojego. A takie było dobre i miłosierne ono młode chłopie, że gdy raz we Lwowie na ulicy spotkał w zimie sierotkę kilkoletniego, a umierającego od głodu i zimna, to okrył go własnym płaszczem, wziął do domu, i nietylko żywił i odziewał, ale sam go uczył, bacząc też na duszę. Więc on sierota tak się przywiązał do swojego dobroczyńcy, że go na krok odstąpić nie chciał i towarzyszył mu wszędzie, nawet na pole bitew, gdzie go śmierć dopiero rozłączyła z kochanym opiekunem.

Ukończywszy nauki, powrócił młody Karol do swojej Skwarzawy, między lud swój, który kochał serdecznie, jak ojciec.

Ale po kilku latach opuścić go musiał, bo ojczyzna wtedy wołała wszystkie dzieci swoje aby szły ją bronić, a Karol kochał swoją ojczyznę po Bogu, i krew młoda zakipiała w nim. Był to rok 1831; nasi porwali się na nieprawą władzę moskiewską, gnębiącą naród, i nasz Karol poszedł także, i służył w korpusie tęgiego Jenerała *Dwernickiego*. Wyratowany nieraz od śmierci, wrócił smutny po wszystkiem do swojej Skwarzawy, bo jeszcze wtenczas nie pozwolił pan Bóg zwyciężyć, a jego przeznaczał sobie do innej walki i do innej służby.

Znalazłszy sobie bardzo cnotliwą i dobrą jak Anioł niewiastę, ową Zofię, poślubił ją — i zdawało się, że znowu był szczęśliwy. Pan Bóg zsyłał mu śliczne dzieciątka, któremi się radowały niezmiernie serca rodzicielskie, ale cóż, kiedy zaledwie każde z nich wymówiło pierwsze słodkie słowo: ojca, matki, nazad zabierał je pan Bóg do nieba. I tak urosło pięć mogiłek na cmentarzu Skwarzawskim, pięć krzyżyków, pięć mieczów w sercach ojca i matki..... Gdy ostatnie złożyli już w maleńkim grobie, na tych pięciu mogiłkach, taka stanęła ugoda między Bogiem, a Karolem i Zofią: Rzekli do siebie:

— Kiedy Bóg nam odebrał wszystkie nasze dziateczki, abyśmy je wszystkie oglądali w niebie, niechże Pan Bóg nasz jedyny będzie nam milszym jak dzieci, jak zdrowie, jak życie! Porzućmy więc świat, a do nieba spieszmy. Poświęćmy się tak Bogu, byśmy mu z aniołkami naszemi służyli na wieki! —

I postanowili oboje iść służyć panu Bogu w klasztorze. A ta ofiara ojca i matki wzniosła się z grobów dziatek jak woń najmilsza Bogu. Matka jednak nie długo czekała nieba, bo prędko powołał ją Bóg aby mu służyła na wieki, a na mogiłach cmentarza Skwarzawskiego płakał już tylko sam Karol, sierota opuszczony.....

Bóg wtedy powołał go do innej pracy, a on nie opierał się Jego głosowi, ale zaraz wstał i poszedł za nim..... I dopiero zrozumiał dlaczego to w młodości tak tęskniła i płakała dusza jego pośród śmiechu ludzi. Rzucił świat i poszedł w ciche mury klasztorne, do Ojców Jezuitów w Starej wsi. Poszedł pokorny i posłuszny jako dziecię małe. Tam to modląc się i ćwicząc w ostrych próbach, płacząc i walcząc sam z sobą, gotował się

do świętego stanu kapłańskiego. A gdy go porywała tęsknota za światem, lub pokusa jaka, to chwytał się krzyża i wołał:

— O Jezu mój! Jezu! Ty mnie wołasz, więc pójdę za Tobą! O nie daj mnie! O nie opuść mnie! —

Ksiądz Karol Antoniewicz został właśnie wyświęcony na kapłana, kiedy okropna łuna zaświeciła nad biednym krajem naszym. Był to rok straszny 1846, kiedy lud na Mazurach zaślepiony grzechem pijaństwa i chciwości, opętany samym złym duchem, rzucił się jak niegdyś Kaim na Abla i zabijał swoich braci. Więc tam, gdzie stały jeszcze niedogaszone gruzy dworów, w obec znieważonych kościołów, obok szkaradnych karczem: tam stanął sługa Boży, ksiądz Karol z kilkoma towarzyszami swymi, i stawiał Bogu ołtarze, i zaczął wołać do nieszczęsnego ludu wielkim głosem, którym Bóg sam przemawiał. Tysiące ludu tego schodziło się, a potęga słowa Bożego, potęga krzyża, powalała go o ziemię, i zbójcy tarzali się w prochu ze żalu i pokuty. Miłość tylko Boża płynęła z ust i serca księdza Antoniewicza: nawoływał do pokuty a oni we łzach się rozpływali, i wołali aby ich omył ze krwi bratniej we krwi Chrystusowej!

Sześć miesięcy tak pracował ten kapłan, sześć miesięcy odbywał misje między ludem wiejskim zbłąkanym, bez odpoczynku kazał, nawracał, spowiadał, i jednał ich z Bogiem i braćmi, sześć miesięcy nie odpoczywał, i w tej pracy Apostolskiej, cały się oddał na zbawienie ludu, a oddał się aż nad siły, bo zaniemógł, a ciało jego utrudzone i wycieńczone chciało już strawić się gorącością ducha. Musiał ratować zdrowie swoje, i Bóg zachował go jeszcze na dalsze prace i zbawienie dusz zbłąkanych.

Ale nietylko tę część ziemi naszej, w której się urodził i w której my mieszkamy, miał ksiądz Karol zrosić swoim potem Apostolskim. W r. 1848 rozwiązany został tutaj zakon jego; udał się więc dalej. Zwiedził kilka razy Kraków, modlił się u grobów Świętych polskich tam spoczywających, a kiedy we dwa lata później pożar straszny zniszczył w Krakowie kościoły Pańskie i mieszkania ludzkie, kiedy nad gruzami zapłakał cały Kraków a nad Krakowem cały kraj: on wtedy stanął na

popiołach domów Bożych, z słowem pociechy, nadziei i miłości. I garnęli się do niego mieszkańcy Krakowa ze łzami, a on przez cały rok w naukach, kazaniach, spowiedziach świętych i w zbieranych składkach na odbudowanie kościołów, służył im. Później, powołany z swymi braćmi zakonnymi na Szląsk górny, a potem do wielkiego księstwa Poznańskiego, tam poszedł odbywać misje między ludem. Więc tam po wsiach i miasteczkach zaznał go wszystek lud i pokochał serdecznie, a on jak dzieci swoje błogosławił go. Takich misji odbył tam trzynaście, i tyleż krzyżów misyjnych strzeże tych ziem naszych, a czternasty krzyż stanął już na jego grobie, gdyż był to już ostatni rok życia świątobliwego zakonnika. Atoli przed śmiercią ujrzał on jedną jeszcze plagę, co przyszła na cały kraj nasz. Była to cholera. Mnóstwo ludzi padało jak muchy, a ksiądz Karol jak Anioł pocieszyciel świecił jeszcze między przerażonymi, chorymi, opuszczonymi i konającymi.

— Dzieci wy Boże! — wołał — nie bójcie się cholery, lecz bójcie się grzechu! — Ileż to dusz wtedy, oddał on Bogu, służąc im dniem i nocą. I nie odstąpił on dziatek swoich, aż póki nie odstąpiła cholera.

Po tych trudach, właśnie miał schronić się znowu do zaciszy klasztornej, do której już tęsknił: gdy oto zapadł na cholerę i widział, że już przyjdzie mu opuścić to życie, a połączyć się z Tym na wieki, do którego zawsze pragnęła dusza jego. Pan zastukał po sługę swojego a on rzekł: — Owom ja! — i przyjąwszy słodki zasiłek Najświętszy na drogę wieczności, pożegnawszy braci słowem: Do widzenia w niebie — tuląc się do krzyża i ran Chrystusowych, a z każdem uderzeniem serca szepcząc: Jezus! i Marja! — oddał czystą duszę Bogu swojemu.

Płakał za nim naród cały. — W chatach i pałacach łzy polskie, łzy rzewne popłynęły. W całej Polsce podniosły się Modlitwy i nabożeństwa żałobne, a ze wszystkich kazalnic przemówili kapłani ze czcią i łzami do polskiego ludu smutnego.....

Kochajcie dzieci ks. Karola Antoniewicza! On was kochał serdecznie i życie swoje wam poświęcił, a nareszcie położył go około usługi i zbawienia waszego. Słowo zaś jego które głosił nie przebrzmiało jeszcze, bo zostawił dla was dużo książeczek

ślicznych i świętych, abyście je czytali i uczyli się jaką drogą trafić do nieba. A wszystkie te książeczki takie są serdeczne jak gdyby łzami jego serca napisane.

Ale gdzieżem ja to odbiegła od hucznego wesela! Ot, skończyło się ono jak każde wesele na ziemi, a ja widziałam znowu niedawno starą Kubaichę w gościnie u Stefanów. Zawsze płacze gdy wspomni o zmarłem państwie, a w Sopuszyńskiej cerkwi hramatka leży przy parastasie przed księdzem proboszczem, a imiona nieboszczyków Karola i Zofji podnoszą się z dymem kadzidła pod sklepienie cerkwi, a biali Anieli niosą je dalej aż do tronu Bożego. O, jeśli te święte dusze modlitwy już nie potrzebują, to niechże ona powraca na poczciwą sługę i jej rodzinę, i na cały lud wiejski w Polskiej ziemi, a za przyczyną dusz wybranych niech wraca z błogosławieństwem niebieskiem!..... *B. E.*

RÓŻNOŚCI.

Pożary. Było znowu kilka pożarów ostatniemi czasy, a to w dwóch miastach w Tarnowie i w Kołomyi. Na trzy zawody palił się Tarnów, a zdaje się, że ogień musiał być podkładany, tak nagle się w różnych miejscach zajmowało. Pierwszy raz wybuchł pożar w wązkiej przez żydów zamieszkanej uliczce, gdzie domów i różnych gratów jak nabił; więc niebezpieczeństwo było wielkie, a lament między żydami jeszcze większy. Kto wie, jak by się był ten pożar skończył, gdyby nie gorliwa pomoc mieszczan, studentów i żołnierzy. Osobliwie jeden cieśla nazwiskiem *Lis*, co prawie że cudów dokazywał: zwijał się po dachach, rozrywał wiązania i zrzucał na dół palące się belki. Szybkim tym ratunkiem ocalało całe miasto od nieszczęścia, bo to w samym środku, a nieszczęście skończyło się tylko na czterech czy pięciu domach, choć z dwunastu innych domów musiano dachy pozdzierać, żeby się ogień nie miał gdzie rozszerzać. Przekonał się przy tym ratunku niejeden, co to znaczy chętna pomoc ludzka, której Pan Bóg zawsze swej łaski użycza. W kilka dni potem wybuchł ogień, także zdaje się podłożony na jednej z główniejszych ulic. Spaliły się dwa domy, z których jeden należał do ubogiej wdowy. Nie dość na tem; jeszcze trzeci raz zapaliło się na przedmieściu, ale ten pożar był już najmniej straszny.

W nieszczęśliwej Kołomyi, która się już i przeszłego roku prawie cała spaliła, wybuchł także straszny ogień z początkiem tego miesiąca. Wiatr był wielki; w jednej godzinie zgorzało dwadzieścia dwa domów ze wschodniej połaci środkowego miasta. Jak w Tarnowie tak i w Kołomyi szukają bardzo za przyczyną tych pożarów.

Wydawca odpowiedzialny za redakcją: E. Winiarz.